

YGGDRASIL TYGRYS SZABŁOZĘBY

Radek
Lewandowski


CD-ACTION
www.cdaction.pl

RW2010

RADEK LEWANDOWSKI

O tym, jak tygrys szablozęby pożarł moją przyszłość

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2014

Redakcja zespół RW2010

Korekta zespół RW2010

Copyright © Anna Rybkowska 2014

Okładka Copyright © Mateo 2014

Utwór bezpłatny,

z prawem do kopiowania i powielania, w niezmienionej formie i treści,
bez zgody na czerpanie korzyści majątkowych z jego udostępniania.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: www.marketing@rw2010

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.p

Opowiadane napisałem wiele lat temu i było ono zarzewiem tego, co czytelnik może przeczytać w cyklu Yggdrasil w tomie „Struny Czasu”.

Jestem stary, bardzo stary. Coraz częściej mam wrażenie, że świat który mnie otacza nie jest mój, a domy, samochody, ludzie w garniturach śpieszący gdzieś za swoimi sprawami, zapach rozgrzanego asfaltu – wszystko to jest obce.

Sąsiedzi uważają mnie za dziwaka i mają trochę racji, ale kto pozostałby normalny po tym, co przeszedłem?

Otacza mnie rozwinięte industrialne społeczeństwo, przykładające wielką wagę do opieki nad swoimi zwierzęcymi pupilkami, ale ja zabijałem i zjadałem podobne psom i kotom stworzenia, żarłem surowe mięso i cieszyłem się, gdy mogłem napełnić brzuch ich jeszcze ciepłą, sycącą juchą. Wołałem to niż padlinę, która wywoływała bolesne skurcze żołądka, ale niekiedy nie gardziłem i tym.

Zaciekawiłem was? To muszę niektórych rozczarować – nie będzie to barwna opowieść o bohaterach walczących zwycięsko z silnym i okrutnym wrogiem ani baśniowa historia o magii i czarach, które pozwalają wyjść z nawet najtrudniejszych opresji obronną ręką. Chciałbym, żeby było inaczej, nawet nie wiecie jak bardzo.

Spisuję swoje przygody po trosze dla moich dzieci i wnuków, o ile się jakichś doczekam, ale głównie dla samego siebie, żeby nie zapomnieć. Gdyż właśnie dzięki temu pierwszy raz otworzyłem szerzej oczy i zobaczyłem coś więcej niż barwny, schematyczny świat. Muszę pamiętać, że moje życie stało się tak wredne nie dlatego, że jestem nieudacznikiem i popaprańcem, ale po prostu miałem pecha. Ktoś powie, że jestem szczęściarzem, bo widziałem młodą Ziemię, żyłem tam, oddychałem wilgotnym powietrzem o smaku, którego próżno szukać obecnie, ale dla takich naiwnych głupców mam tylko jedną odpowiedź – gównu wiecie o życiu, potwornym ludzkim strachu, kiedy każdy kolejny dzień jest zwycięstwem, a każdy poranek wyzwaniem.

Zacznę jednak od początku.

Byłem młodym i dobrze zapowiadającym się lekarzem na stażu. Początek może banalny, ale późniejsza rzeczywistość okaże się dużo oryginalna. Po prawie ośmiu miesiącach pracy w szpitalnym oddziale ratunkowym moja przyszłość rysowała się w jasnych barwach. Stary niedźwiedź, jak nazywaliśmy ordynatora, zaproponował mi stałą posadę, zastanawiałem się nawet nad kupnem mieszkania w jakiejś zielonej, spokojnej okolicy, gdy...

Nie mogę teraz o tym pisać. Wypiję ze dwie setki czystej, położę trochę po pobliskim parku, to mi przejdzie. Zresztą i tak miałem wyjść, obiady w opiece wydają tylko do szesnastej.

Jestem. Przeczytałem swoje wcześniejsze wypociny i chce mi się śmiać, ale to może być wpływ żołądkowej gorzkiej, sam nie wiem.

Tak na marginesie, ja nawet nie lubię czytać fantastyki, wolę dobry kryminał lub literaturę faktu, ale moja opowieść wyglądałaby niczym SF najczystszej próby, gdyby nie jeden drobiazg – to wydarzyło się naprawdę!

Uporządkowane życie zrobiło wolnę pewnego deszczowego jesiennego wieczora. Pamiętam dokładnie ten dzień moich dwudziestych piątych urodzin. Byłem u siebie. W tym wynajmowanym, ale pachnącym jeszcze świeżą farbą mieszkanku kuchnia była niewielka, funkcjonalnie urządzona i używana, co dziwiło wielu moich znajomych, ale laski ciągnęły do dobrego jedzenia niczym pszczoły do miodu.

– Samotny facet gotujący obiadki? – słyszałem.

– Lubię dobrze zjeść – mówiłem wtedy.

Rozbudzam apetyt gości wyszukanymi potrawami, bo seks i łaknienie są nierozłączną parą.

Nie żartowałem sobie tylko z Asi, bo z nią było jakoś inaczej. Dziewczyna z górnej półki, za którą oglądała się połowa miasteczka i to bez względu na płeć oraz wiek, wybrała mnie, czy raczej miałem nadzieję, że wybierze. Dzisiaj był pierwszy

wieczór, który mieliśmy spędzić razem. To dla niej pichciłem moją specjalność – grillowane żeberka w glazurze z pomarańczą i tymiankiem. Do tego planowałem podać ziemniaki przyprószone koperkiem i surówkę z modrej kapusty. Zawsze lubiłem gotować, choć niekiedy przesadzałem z eksperymentowaniem i nawet ja nie byłem w stanie zjeść tego, co wysmażyłem.

Asia miała przyjść za pół godziny. Liczyłem na wspaniałą kolację przy świecach i butelce czerwonego wytrawnego Cabernet Sauvignon, z deserem podanym w mojej małej, ale przytulnej sypialni, który tak naprawdę miał być głównym daniem wieczoru.

Właśnie szklilem cebulę, gdy zadzwonił telefon. Zdarzył się wypadek w pobliskim szpitalu psychiatrycznym, a ja byłem jedynym trzeźwym i w tym momencie wolnym lekarzem, którego mieli pod ręką. Zakląłem wściekły na wredny los, ale co było robić. Wyłączyłem palniki, zadzwoniłem do Asi, i już po chwili biegłem na złamanie karku po schodach. Miałem tylko kilka kroków do starego i posepnego gmaszyska psychiatryka, które swoim wyglądem bardziej przypominało stary zamek niż oddział służby zdrowia.

Na miejscu okazało się, że jeden z nowo przyjętych pacjentów podjął udaną próbę pokonania odległości dzielącej drugie piętro od gruntu w czasie poniżej trzech sekund. Na szczęście wpadł w gęste krzewy, co złagodziło upadek z okna i teraz leżał połamany, ale przytomny, otoczony wianuszkiem gapiów.

– Karetka w drodze – rzuciła jakaś starsza kobieta, zapewne siostra oddziałowa, i dalej próbowała bezskutecznie utrzymać gęstniejący tłum z dala od zakrwawionego nieszczęśnika. Dopiero pomoc kilku krzepkich pielęgniarzy przyniosła pożądany efekt.

Nie było czasu, zrzuciłem krępującą ruchy kurtkę i klęknąłem przy nieszczęśniku. Już na pierwszy rzut oka widać było, że ma połamane obie nogi. Kości przebiły szpitalny drelich i wystawały na zewnątrz nierównymi krwawymi

szpikulcami. Mogłem się tylko domyślać, jak poważne są obrażenia wewnętrzne, a musiały być ogromne, bo jasna krwawa piana spływała z kącików ust, barwiąc chodnik na czerwono. Leżał na plecach, z trudem łapiąc płytkie hausty powietrza, niby ryba wyciągnięta z wody. Umierał.

Nie przybyłem za późno. Po prostu żadna doraźna pomoc nie była w stanie zatrzymać życia uciekającego z tego potrzaskanego ciała.

Usłyszałem szept, na tyle tylko było stać poranioną krtań. Z początku zignorowałem słowa, próbując zatamować krwawienie zewnętrzne, ale był natarczywy, jakby od tego, co teraz powie, zależało coś więcej niż tylko życie.

– Pół minuty do temporalnego transferu, proszę się odsunąć, bo studnia ma średnicę dwóch metrów – wychrypiał.

Popatrzyłem w jego zadziwiająco spokojne oczy, w których cierpienie mieszało się z rezygnacją.

– Proszę leżeć spokojnie, pomoc jest w drodze – wymruczałem przez zaciśnięte zęby, w których trzymałem świeżą rolkę bandaża.

– Nic nie rozumiesz – bezskutecznie próbował odepchnąć mnie od siebie. – Wessie nas obu, głupcze, i nie wiem nawet gdzie trafimy. Po upadku torex jest rozkalibrowany... Zamilkł, jakby dla nabrania tchu i umarł.

Sygnal nadjeżdżającej karetki był coraz bardziej natarczywy, gdy stało się to, co odmieniło całe moje życie.

Kontury otoczenia zaczęły wpadać w drgania i tracić ostrość. Potrząsnąłem głową, bardziej zdziwiony niż wystraszony, ale to nie pomogło. Próbowałem podnieść się z kolan. Regularne pulsowanie obrazu przed oczami przestało być problemem – teraz w ogóle przestałem widzieć cokolwiek.

– Jasna cholera – wyrwało mi się. – To jakieś zaćmienie Słońca czy oponiak, niech to, nie teraz, nie dzisiaj...

Nie dokończyłem tego błagania, straciłem przytomność.

Gdy się ocknąłem, poczułem na twarzy palące promienie słońca. Byłem tak osłabiony, że z trudem usiadłem... na trawie. Co jest, przemknęło mi przez głowę, przecież tu przed chwilą był pieprzony chodnik.

Szybko wracałem do siebie; widziałem już i słyszałem w miarę normalnie.

Obok mnie leżało ciało tego samobójcy z psychiatryka, ale dalej...

Rozejrzałem się dookoła i czułem się nie jak uczestnik wydarzeń, ale widz, który ogląda wymagowany świat na ekranie telewizora.

Wszędzie wkoło czuć było atmosferę szerokiego oddechu, dzięki i pierwotnej młodości. Takie było moje pierwsze wrażenie i nie pytajcie, skąd się wzięło. Człowiek to dziwna skomplikowana biomaszyna i nie wszystko, co robi, a zwłaszcza odczuwa, da się racjonalnie wytłumaczyć.

To jednak sen – poczułem ulgę, gdy przyczyny i skutki wskoczyły w mojej głowie na swoje miejsca. Cholernie pokrecony, ale jednak sen.

Uspokojony ponownie rozejrzałem się dookoła. Podczas gdy cała okolica leżąca na zachód od miejsca, w którym się znajdowałem, pokryta była bujnymi lasami, na wschodzie rozciągała się trawiasta równina, przetykana gdzieniegdzie kępami krzewów i nielicznymi drzewami. W dalszej perspektywie przechodziła ona w niewielkie, malownicze wzgórza. W oddali połyskiwała rzeka, której wstęga zakręcała łagodnie ku północy.

Musiałem się naoglądać czegoś w TV i teraz śniłem o afrykańskiej sawannie. Tylko dlaczego w towarzystwie nieżywego pacjenta, a nie jakiejś czarnoskórej piękności?

To, co mnie otaczało, wyglądało i pachniało aż nazbyt rzeczywiście. Zapach był dziwny, ale przyjemny, a duszne i gorące powietrze miało słodkawy posmak.

Nagle całą uwagę skupiłem na płowej sylwetce, która przyglądała mi się z oddalonego o jakieś dwieście metrów wzgórka. Sen snem, ale włosy zjeżyły mi się na głowie. Był to dziki kot wielkości lwa, o krótkim ogonie i mocnej krępej budowie. Z

górną szczęką, co widziałem wyraźnie nawet z tej odległości, sterczały ku dołowi dwa olbrzymie kły.

Wiedziony jakimś pierwotnym instynktem, rzuciłem się do panicznej ucieczki. Kątem oka uchwyciłem ruch sprężystego ciała, sunącego długimi susami w moim kierunku. Uratowały mnie dwa głązy, stykające się ze sobą wierzchołkami, które tworzyły naturalną kryjówkę o wejściu tak wąskim, że z trudnością przecisnąłem się do środka.

Napastnik dopadł do otworu tuż po tym, gdy zniknęły w nim moje nogi. Ryknął wściekle, ale nie zamierzał rezygnować ze zdobyczy. Po chwili pod głazami zrobiło się całkiem ciemno, gdy zwierz, drąc pazurami ziemię, zaczął wciskać się w ślad za mną do tego prowizorycznego schronienia. Wymacałem kawałek ukruszonej skały wielkości męskiej pięści i rzuciłem nim z całej, spotęgowanej przerażeniem siły wprost w jarzące się ślepie. Ryk, zwielokrotniony echem, pełen był teraz nie tylko wściekłości, ale również bólu. Zwierz cofnął się, sapiąc ze złości, ale nie odważył się po raz drugi wkładać łba w ciemny otwór. Na szczęście, bo jak zdążyłem zauważyć, na jego odpędzenie zużyłem jedyny godny uwagi pocisk. Reszta kamieni była zbyt mała, by odstraszyć zwykłego kundla, a co dopiero taką bestię.

Siedziałem nieruchomo, bojąc się nawet głębiej nabrać powietrza w płuca, ale zwierz na razie przestał się mną interesować. Znalazł najwidoczniej mojego nieżywego kompana, bo wydał ryk triumfu i do moich uszu dobiegło odrażające chrupanie, mlaskanie i chrzęst kruszonych potężnymi szczękami kości.

Szok mijał powoli. Uszczypnąłem się kilka razy, mając nadzieję na przebudzenie z tego koszmaru, ale nie było mi to pisane w księgach losu. Może zwariowałem, ale zaczynałem wierzyć w to, co mówił przed śmiercią pacjent. Może faktycznie przeniósł mnie w czasie? Może...

Przecież ja nawet nie lubiłem literatury fantastycznej! Zawsze byłem pragmatykiem, który sprawy brał tak, jak się miały, bez upiększania. Ale może

właśnie dlatego szybko przyjąłem do wiadomości to, co się stało. A fakty były takie: albo doznałem jakiegoś głębokiego urazu i mam majaki, albo naprawdę przeniosłem się w czasie. Zakładając to drugie, gość musiał być z przyszłości i pechowo moi współcześni wzięli go za chorego psychicznie włóczęgę. Miał ze sobą, w sobie – nie wiem – jakieś urządzenie, które powinno go odesłać do domu, ale upadek coś tam namieszał i trafiliśmy w daleką przeszłość naszej planety. W zwierzęciu, które właśnie kończyło posiłek, rozpoznałem smilodona, tygrysa szablozębego, który wymarł ponad dziesięć tysięcy lat temu. Oglądałem o nich kiedyś film na Animal Planet i pamiętam, że podziwiałem wówczas skuteczność tych bestii w łowach na grubego zwierza. Nie było tam nic o polowaniach na ludzi, uzbrojonych jedynie w kawałek kamienia i zwykły skórzany pasek do dzinsów.

Moje rozmyślania zapadła nagle cisza. Nie słyszałem już darcia surowego mięsa i łamania kości. Wyjrzałem ostrożnie na zewnątrz. Smilodon oddalał się wolnym krokiem, trzymając w paszczy krwawy zezwłok, który był wszystkim, co pozostało po sprawcy mojego nieszczęścia.

– Szlak by to – zakląłem pod nosem. Właśnie oddala się ode mnie jedyna sposobność powrotu do mojego świata. Obcy miał urządzenie, czymkolwiek ono było, dzięki któremu trafiliśmy w tę dzicz. Bez niego wkrótce stanę się kolejnym posiłkiem jakiegoś drapieżnika. Kwestią czasu i przypadku były pora i miejsce, ale wiedziałem doskonale, że w tym świecie nie mam szans na przetrwanie. Gdybym miał omamy, niby nic mi nie groziło... ale wolałam nie ryzykować. Pewnych rzeczy nie da się cofnąć, odwrócić – na przykład pożarcia przez prehistoryczną bestię.

Po nocy spędzonej w chłodnej kryjówce, głodny, spragniony i osłabiony z nadmiaru adrenaliny we krwi, postanowiłem poszukać czegoś do zjedzenia i picia. Przede wszystkim potrzebowalem wody. Kortyzol znacznie zredukował moje uczucie głodu, ale pragnienie musiałem zaspokoić jak najszybciej. Po moim prześladowcy nie

było śladu, ale poruszałem się ostrożnie, gdyż takich jak on albo jeszcze groźniejszych potworów musiało być w okolicy więcej.

Ten świat, pełen tajemniczych stworzeń, dźwięków, zapachów, budził mój atawistyczny strach przed nieznanym. Szedłem długo w kierunku rzeki i jakby mimochodem obserwowałem otoczenie. Za sobą zostawiałem sawannę, a przed sobą miałem las. Od ciemniejszej zieleni drzew iglastych odbijała się jaśniejsza i bardziej soczysta barwa liści. Nie bardzo znałem się na botanice i nawet nie próbowałem zgadywać nazw tych roślin. Z bliska wstęgę wody przesłonił gąszcz.

W pewnym momencie wyszedłem na polanę i stanąłem jak wryty. Wraz ze mną kroczył na nią jak gdyby nigdy nic wspaniały dorodny jeleń. Smukłe, muskularne nogi niosły ciężki, ale kształtny tyłów, a na potężnym karku osadzony był łeb z największym porożem, jakie widziałem w życiu. Patrzył na mnie, ale bez strachu. Wciągnął w rozdęte nozdrza powietrze i zaryczał. Na ten sygnał pomiędzy drzew wychynęło kilka samic. Podbiegły do niego niespokojne, ale ufne w siłę potężnych mięśni opiekuna. Czytałem w dzieciństwie wiele opowieści o zdobywaniu Dzikiego Zachodu, więc teoretycznie znałem się na podchodzeniu. O praktyce szkoda gadać. Z odłamkiem skalnym w dłoni czekałem na rozwój wydarzeń.

To, co się stało później, potoczyło się tak szybko, że część faktów zarejestrowałem chyba tylko podświadomie. Jedna z łań, wydając ciche stęknienie, zapadła się w wielką, zamaskowaną jamę. Stado drgnęło, szykując się do ucieczki, a rozwścieczony przewodnik podbiegł do uwięzionej towarzyszki i zaczął ryć łopatami rogów skraj dołu. Kępy trawy leciały na wszystkie strony, ziemia drżała od uderzeń masywnych kopyt, ale wszystko na próżno. Gdy byk przekonał się o beznadziejności swoich działań, obrócił się majestatycznie w miejscu i powolnym klusem ruszył w kierunku ściany lasu. Tuż za nim podążała jego świta. Po chwili tylko chrzęst deptanych gałęzi gdzieś tam w oddali i ciche rozpaczliwe pobekiwanie ofiary świadczyły o obecności stada na polanie.

Nie ważyłem się podejść do więźnia, jeszcze nie, ale dla zaspokojenia coraz bardziej dokuczliwego pragnienia całymi garściami zrywałem jagody, rosnące nieopodal, których niebieski sok, ciekł mi teraz po twarzy. Nawet nie pomyślałem, że mogą być trujące. Nagle ręka zamarła mi w połowie drogi do ust, bo usłyszałem nowy hałas. Coś przedzierało się przez gąszcz roślinności. Czułem, jak pot zimną strużką cieknie mi po karku.

Miałem nadzieję, że drapieżnik zajmie się unieruchomioną w dole łanią, mnie zostawiając w spokoju, ale niczego nie mogłem być pewien.

Ukryty w gęstym listowiu czekałem na to, co miał przynieść los. Otworzyłem szerzej oczy ze zdziwienia, gdy zobaczyłem co wyłoniło się ze ściany lasu. Ludzie! A może to jakiś gatunek dwunożnych małp?

Wódz albo przewodnik grupy zatrzymał się nagle i podobnie jak wcześniej prajeleń wciągnął głęboko powietrze w pokaźne nozdrza. Uspokojony brakiem zapachu drapieżników – ja leżałem po zawietrznej, więc chyba mnie nie wyczuł – skierował gromadę w okolice pułapki, w której leżała wyczerpana już łania. Pomimo strachu obserwowałem ich z ciekawością. Dzicy byli raczej niskiego wzrostu, za to krepki i masywni, z sylwetką lekko pochyloną do przodu. Długie umięśnione ręce znamionowały sporą siłę, a bezwłose twarze posiadały prymitywne, jeszcze zwierzęce rysy. Szerokie usta kryły duże, mocne zęby, które teraz szczyrzyli uradowani zdobyczą.

Szybko uporali się z ofiarą, pomagając sobie zaostrzonymi kijami.

Zwątpienie niczym ogromny głaz przygniotło mnie do ziemi. Jeśli są to jedyne myślące stworzenia, które mogę tu spotkać, a tak musiało przecież być, to moja czekała mnie niewesoła przyszłość. Nie miałem jednak wyjścia. Jako obcy, by przetrwać, musiałem dołączyć do jakiejś grupy dzikusów lub zginąć tu i teraz. Przedłużanie tego szaleństwa nie miało sensu.

Ostrożnie wyczołgałem się z kryjówki, i niepewnym krokiem zbliżyłem do upojonej udanymi łowami gromady. Praludzie oderwali się od ociekającej krwią zdobyczy i powarkując groźnie, ruszyli w moją stronę. Struchlałem ze strachu, kolana ugięły się przede mną. Byłem gotowy do ucieczki, ale gdzie miałem uciekać? Czy istniało na tej młodej Ziemi miejsce, w którym mógłbym poczuć się bezpiecznie? Stałem w bezruchu.

Wódz dzikich podbiegło do mnie i jednym płynnym ruchem poderwał do góry. Chociaż byłem znacznie wyższy od niego, nie sprawiło mu to wielkiej trudności. Naprężone sznury mięśni grały pod porośniętą gęstym włosiem skórą i pomimo stosunkowo niewielkiego wzrostu biła od niego taka siła, że nie wątpiłem, iż mógłby mi złamać kark jak kurczakowi. Byłem przekonany, że to już koniec, gdy naraz dziki rozluźnił uchwyt i spadłem na ziemię u jego stóp. Nachylił się, patrząc na mnie bardziej z ciekawością niż żądzą mordy. Przez jego szare źrenice przebiegł błysk łagodności, nadając tej niemal zwierzęcej fizjonomii ludzki wyraz. Poczulem śmierdzący oddech, ale nawet nie drgnąłem, leżałem niczym sparaliżowany. Wiedziałem, że gdybym zerwał się do ucieczki lub wykonał jakikolwiek gwałtowny ruch, straszne ręce pochwyciły by mnie znowu i tym razem puściły martwego.

Horda skupiła się teraz wokół nas. Wydawali jakieś nieartykułowane dźwięki, ni to pohukiwania, ni warknięcia. Co rusz któryś z dzikusów pocierał moją bezwłosą skórę, śmiejąc się chrapliwie. Z ich punktu widzenia musiałem przypominać przerośniętego oseska, zresztą szanse na samodzielne przeżycie miałem niewiele większe. Trochę zdziwienia wywołało ubranie, ale nie rozumieli, z czym mają do czynienia i ta obca rzecz przestała zaprzętać ich proste umysły. W końcu znudzili się nową zabawką i wrócili do martwej już łani. Miałem wrażenie, że zaakceptowali moją odmienność, przynajmniej na tyle, by takiego dziwołaga jak ja zostawić przy życiu.

Było to moje drugie i oceniając z perspektywy czasu, chyba najważniejsze zwycięstwo w ciągu ostatnich dwóch dni.

Tymczasem przed myśliwymi stało niełatwe zadanie wydostania ciężkiej zdobyczy z głębokiego dołu. Obserwowałem w milczeniu, jak rąbią kamiennymi toporkami cienkie pnie drzew, jak ogoławają je z gałęzi i ustawiają skośnie, opierając o dno pułapki. Potem po tej pochyłej kładce wyciągnęli martwe zwierze na zdeptaną trawę. Wśród radosnych okrzyków i powarkiwań sprawnie poćwiartowali tuszę i rozdzieliwszy ciężar między członków grupy, szykowali się do drogi. Co miałem zrobić w tej sytuacji? Również podniosłem się z trawy i ustawiłem na samym końcu tego żywego ludzkiego łańcucha. Ruszyliśmy.

Wielokrotnie próbowali mnie odpędzić, ale ja zawsze wracałem i w końcu dali spokój. Po wielu godzinach mozolnej wędrówki dotarliśmy do niewielkich wzgórz, tych samych, które zauważyłem zaraz po pojawieniu się w tym upiornym świecie. Wśród nich ginęła gdzieś niebieska wstęga rzeki i właśnie nad wodą, w wapiennej skale czerniał przed nami spory otwór jaskini. Prowadziła do niego wąska, wydeptana ścieżka, wijąca się zakosami wśród wielkich głazów.

Mężczyźni uradowani bliskością bezpiecznej siedziby przyspieszyli kroku, a na spotkanie wybiegły im dzikie kobiety i kilka młodszych osobników.

Po latach spędzonych wśród tego plemienia, nie potrafię ich traktować jak na wpół dzikie zwierzęta, bo to byłoby niesprawiedliwe. Tworzyli dosyć zwartą społeczność, której członkowie polegali na sobie bardziej, niż to jest u nas przyjęte. Dzieci stanowiły wspólne dobro, bez względu na to, kto był ich ojcem lub matką. Fakt, że kobiety wołały się pokładać z silnymi mężczyznami, słabszych nie dopuszczając do siebie, świadczył o wysoko rozwiniętym instynkcie przetrwania gatunku.

Tego pierwszego wieczoru mojego pobytu u nich w jaskini odbyła się wielka uczta. Olbrzymie płaty mięsa piekły się nad wielkim ogniskiem, a skapujący tłuszcz starannie zbierano do prymitywnych kamiennych naczyń. To był szczęśliwy dzień.

A nie wszystkich kolejnych można to powiedzieć.

Ogień u wejścia odstraszał tygrysy szablozębe czy znacznie groźniejsze niedźwiedzie jaskiniowe, które zwabione smakowitymi zapachami, mogłyby połakomić się na łatwy łup.

Dni zwały się w jedno pasmo, oddzielane od siebie okresami głodu i sytości, chłodu i ciepła. Trzy lata, jak później obliczyłem, trwała moja egzystencja wśród tego dzikiego plemienia. Trzy lata brudu, mordy, strachu i głodu zanim przywrócono mi status człowieka cywilizowanego. Choć dzicy zaakceptowali moją obecność, status w gromadzie posiadałem najniższy z możliwych. Nie mogłem zbliżyć się do ich kobiet, choć mówiąc szczerze, nawet w głowie mi to nie postalo; za to czasami sam musiałem pokładać się z którymś z dominujących samców, o ile ten miał na to ochotę.

Powróciłem w moje czasy, gdy ktoś tam z przyszłości zauważył i postanowił naprawić tę makiawelistyczną pomyłkę i oddać mi moje życie. Dzięki i za to, choć miałem wiele powodów do pomstowania na naszych potomków. Moje pojawienie się wywołało spore zamieszanie; oczywiście nikt nie uwierzył w relację, którą przedstawiłem. Kolejne dwa lata spędziłem w szpitalu psychiatrycznym, nim wypuszczono mnie na wolność, traktując jako nieszkodliwego dziwaka. Mimo upływu czasu wspomnienia bołą, budzę się często w nocy zlany zimnym potem strachu i zasypiam dopiero po upewnieniu się, że mam solidny dach nad głową i mocne ściany dookoła.

Czasem myślę, że jednak jestem szalony i wszystko to wytwór mojej chorej wyobraźni. By zachować resztki zdrowego rozsądku piję i piszę te słowa.

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

Fantastyka w nowej formie

Oficyna wydawnicza

RW2010

Dobre ebooki
w dobrej cenie

www.rw2010.pl